



ADAM KACZANOWSKI

# Nowe zoo



**Nowe zoo**



ADAM KACZANOWSKI

# Nowe zoo



WOJEWÓDZKA BIBLIOTEKA PUBLICZNA  
I CENTRUM ANIMACJI KULTURY  
W POZNANIU



*Four, five,  
how stay alive?*

*Six, seven,  
go to hell, go to heaven?  
(Blade Runner)*

## Małe zoo

Taki plac zabaw, na którym dzieci  
oswajają się ze zwierzętami

(na przykład: małe egzotyczne świnię, kózki  
drewniany krokodyl-lawka)

Patrzmy jak świnię karmi młode  
potem chce nam się pić

woda mineralna, nagle trafiamy w sam środek  
klótni (jeszcze robisz mi fotkę z tą czarną świnią przy nodze)

facet i kobieta: on milczy i gra wkurwionym  
wzrokiem, ona atakuje, aż syczy:

„Jesteś zwykłym gnojkiem, ledwo wyszliśmy od razu  
słysz, że wolałbyś zostać jesteś zwykłą mendą”

rozglądam się gdzie mogło uciec ich dziecko,  
zgoda, trzeba się wycofać

(świnię karmi młode, kózki, drewniany  
krokodyl-lawka, dzieci oswajają się ze zwierzętami)

Potem: zwierzęta nocne, panny na obcasach, ich goryle,  
makaki pochowane w krzakach, struś, dwa strusie

cośtam jeszcze, na przykład motyle i propozycja  
domowych występów tresera owadów

i w finale znowu oni już po wszystkim, kobieta spokojna, facet  
pełnia szczęścia zasuwa na hulajnodze pożyczonej od dziecka

(tuż przed zamknięciem szukamy i znajdujemy tygrysa)

Z innej bajki: lepiej być ogonem lwa  
niż głową myszy?



## **Lepiej być ogonem lwa niż głową myszy**

Lepiej być ogonem myszy niż czułkiem robaka.

Lepiej być odwłokiem robaka niż niczym.

Lepiej być nikim.

Z innej bajki: lepiej być nikim

niż Myszą Miki!

## Tijuana Bibles

Takie stare amerykańskie porno komiksy  
z czasów powiedzmy Bogarta i Casablanki  
Popeye ma superwzwód po porcji szpinaku  
Kaczor Donald posuwa od tyłka Myszkę Miki

kupiłem ten album na przecenie za 5 dolarów  
na straganach przed Central Parkiem  
(potem latynos oszukał mnie na hot-dogu  
przedtem chyba nic się nie działo)

Sprzedawca książek podziwiał moją koszulkę  
z Fantastyczną Czwórką, potem jeszcze  
strażnik w Metropolitan Museum krzyknął  
na jej widok: „o, tego gościa to ja nie zatrzymam!”

Wszyscy, którzy przeglądają te obrazki  
zwracają uwagę na bezładnie namalowane  
beznadziejne twarze facetów. Tylko dziewczyny  
są ładne, albo chociaż jako-takie. (Faceci to chuje)

Przy okazji: nie pamiętam momentu, w którym  
ktokolwiek by mnie uświadomił w sprawach seksu.  
Nie przypominam sobie też chwili, w której dotarło  
do mnie że ludzie, w tym ja, są śmiertelni.

Ci wszyscy Amerykańscy Chłopcy, którzy walili  
konia na *Maggie in the 19th hole*, i którzy już dawno  
nie żyją, też mi w tych kwestiach niewiele pomogą.

Wracając: lepiej być nikim niż ludzką glistą?  
Lepiej mieć bezładną twarz, czy też lepiej mieć  
ją na sobie i krzyżeć: „Oh! Hurry – I’m coming!”

„Your balls are bouncing in my eyes!” „Close them!”  
Lepiej być martwym, niż papierowym?

## glisty ludzkie (dwie pierwsze)

W 2112 roku wybudzają z hibernacji Walta Disneya. Walt opowiada, że widział zaświaty. Były tam piękne kobiety-motyle kopulujące z obrzydliwymi mężczyznami-glistami. Słyszał dźwięki anielskiej harfy i – upiera się przy tym – potężne trąby jerychońskie. Waltowi nie daje spokoju pytanie, czy widział przed sobą niebo, czy piekło. Wielebny Mickey odpowiedzialny za ewangelizację neohollywood, po przeanalizowaniu wszystkich przesłanek orzeka, że neodusza Walta, przebywając w stanie hibernacji, ugrzęzła gdzieś na granicy sacrum i profanum. Walt publicznie oświadcza, że Mickey to dla niego zwykły szczur, popaprana mysz kościelna, i że ma go centralnie w dupie.

W 2211 roku, na podstawie materiału genetycznego zebranego z autorskiego egzemplarza pierwszego wydania *49 idzie pod młotek*, udaje się wyprodukować kłona pisarza Thomasa Pynchona. Po rocznym okresie adaptacyjnym Thomas zaczyna mówić. Opowiada głównie o pięknych mężczyznach-motyłach kopulujących z wyuzdanymi kobietami-glistami w rytm – upiera się przy tym określeniu – jakichś dupiastych trąb jerychońskich. Chce napisać na ten temat libretto, ale po kilku próbach stwierdza, że – po pierwsze, coraz bardziej przeszkadza mu fikcyjność własnego istnienia, po drugie, wszystko jest nic niewartą fikcją, po trzecie w końcu, najlepiej wychodzi mu lowienie ryb na granicy z Meksykiem.



**mi zoo giń**

(teraz na suczki mówi się foczki)

## **festyn dziecięco-penerski na osiedlowym boisku**

stanęliśmy z Czarkowskim w oknach,  
opieramy się na rzeczywistości.

## ciągi dalsze

rzeczywistość się składa: z młodej kotki, naszego mieszkania, boiska przed blokiem i festynu. Młoda kotka jest z nami od dwóch dni [a wzięliśmy ją na zawsze, biega po mieszkaniu, walczy z narzutami lub [prześcieradłem, albo śpi. Gdzieś ma sklepowe zabawki. W skład festynu wchodzi: rozwydrzone dzieciaki, stragan z drewnem i plastikiem, nadmuchany [zamek- -zjeżdźalnia przywiązany do pojemników do segregacji śmieci. [Impreza opiera się na kilku mocnych atrapach, takich jak pies, który nie potrafi przeskakiwać przez obręcz, ale może sobie na to pozwolić, skoro wychodzi na [scenę z kłownem. Scenę, czyli boisko, czyli plac do gry. Ludzie pracujący dla kłowna na szczudłach przebijają się do kolejnych numerów w półciązarówce półotwartej od strony naszych okien, ale nie ma tam na co popatrzeć. Stoimy z Czarkowskim w oknach, kotka akurat śpi albo po prostu nie chce słuchać ujadania rozwydrzonych szczeniaków. Występy są niespecjalne, ale może to tylko zdanie tych, którzy patrzą na wszystko z wyższego piętra. Zadzierają? Łączy nas [wszystkich to, że każdy czeka na jakiś ciąg dalszy. Co następuje? Wtrącenie: dotąd mówiłem do Oli moja kotka, teraz mam utrudnione zadanie, skoro moja kotka wyleguje się na kanapie z naszą kotką i chce żebym zrobił im zdjęcie. W sklepie zoologicznym powiedziano że kuwetę wskaże sam instynkt, i rzeczywiście tak to działa. Czarkowski uważa, że kłown i występy na szczudłach mają coś z Zorna. Przerzyniki z heavy metalu. Kim jest Czarkowski nie ma tutaj specjalnego znaczenia, niech on sam sobie na to odpowie. Długie wiersze, w których [człowiek się gubi a potem nie odnajduje nie mają wiele sensu. Czekać na ciąg [dalszy nie jest równoznaczne z oczekiwaniem na sensowne zakończenie. [Zabawa trwa w kotka i myszkę. Krótki wiersz brzmiałby w tej sytuacji tak:



koniec nie jest bliski. Najbliższy jest ciąg dalszy. Łącuch zdarzeń  
trawi łańcuch pokarmowy. Ciekawość pożera.

## **bądźmy szczerzy**

rzeczywistość odmienia się przez przypadki.  
Pomagają kobieca intuicja i instynkt strzelecki.  
Masz szczęście. Jest bosko.

Krążysz nad tematem jak jastrząb w klatce.  
Widzisz kotka i myszkę w odległości kilku  
kilometrów od siebie i uderzasz łbem o kratę?

Znak zapytania gdzieś na granicy śmieszności.  
Dwa kroki w przód, jeden w tył. Taniec  
godowy, powrót na ziemię, obiecuję

chowanie głowy w piasek, krecia robota. Głupi pech.

## **bohaterowie wyobraźni**

poszukiwacze bezsensu świata  
Indiana Jones i Tarzan

nagle znajdują szczelinę. Pojawia się  
pytanie: czy władca małp

i jego przyjaciel o boskiej aparycji podniosą  
wszechświat z kolan

i rzuć ludzi na kolana.



## nasza historia

moja biologia i chemia plus twoja biologia i nasza chemia  
geografia mniej chociaż robisz do mnie oko na maroko

historia tego wiersza jest taka: leżymy sobie z gołymi tyłkami  
na łóżku, czytamy, sięgam po długopis i rysuję na twojej pupie  
serce

nasze ciała dyktują pewne rozwiązania: łapiemy złotą rybkę  
i pierwsze z trzech życzeń brzmi niech spełnią się nasze  
wszystkie

prośby. Potem spotykamy śmierć i ostatnie życzenie do którego  
mamy prawo przed egzekucją: żyć długo

a w końcu diabeł który dobija się o nasze dusze. *Sprzedamy ci je  
za nowe ale zostawisz nam pamięć. Zaczynam grzeszyć*

gdzieś pomiędzy twoimi piersiami. *Klik-klak, jest tu jakiś ssak?*

## Slumberlandzki wierszyk

*Trik-trak czy to jest jakiś ssak?  
Nie, to Profesor Mattel  
Trik-trak, trik-trak,  
Profesor Mattel to żaden ssak.*

*Ziut, brzdęk, trzask,  
ucieka gdy zobaczy człowieka.  
Lecz gdy dziewczynka zaśnie,  
z chęcią małą zatrzaśnie.*

*Ummm, moja mała lala  
me ciato twe ciato zniemala.  
Zabawmy się w szalonego doktora,  
będziesz na głowę chora.*

Śniło mi się, że śpię z własnym  
dziadkiem, pijanym w piwnicy,  
wszystko wskazuje, że jestem jego dziwką.  
Ma śmierzącego psa.

*Fuj, fuj, fuj.  
Syf jest w chuj.  
Jak byłem bardzo mały  
śniły mi się miękkie pedały.*

Budzę się i chyba śnię:  
wille, porsche i kobietę.  
Co za koszmar. Karaluchy  
wylażą spod poduchy.

*Cmok, cmok, cmok  
rzuć na ciebie urok.  
Będziesz zakładana na cyczuszeki cinszki  
wyjęte spod mojej poduszki.*

Nigdy nie śniło mi się, że człowiek  
może latać. Na księżyc. Na Marsa.

*Oczyka malutki już zmrzuż  
nadleci twój anioł stróż.*

*Śni mi się ekran komputera  
co oczy i palce pożera.*

Złośliwość przedmiotów martwych  
budzi żywe reakcje. Sru.

*To jest wierszyk z krainy snów  
wszystkich zwichniętych głów.*

Telewizor, telefon, trele-morele.  
Film mi się nie urywa. Pierdziele.

*Rybiki. Pająki. Muszki. Bakterie.*

*Piloty, laptopy, baterie.*

Każdy chce mieć to,  
na co zasłużył.

Pewnego dnia w łóżku odwiedził mnie Profesor Mattel. Spałem.  
Szeptal. Podrzucal pomysły, zapłodnił. *To jest wierszyk z krainy  
snów wszystkich stracących głów. To bakterie na baterie, to są muszki  
fanaberie.*

Czy to jawa czy sen? Ile sen ma den?

Czy w nocy sięgnąłeś dna?

Czy twój koszmar doczeka dnia?

Każdej nocy kęs ma sens. Spod rzes.

Umiem zginać ręce. Można zmieniać mi ciuchy. Można karmić.

Kiedy widzę nagą cipkę, staje mi. Sram, rzadko rzygam.

Śpiewając fałszuje. Profesor Mattel proponuje mi samochód, stół  
i cztery krzesła. Twarde gumowe fotele. A potem z lalą wesele.

*Trik-trak, czy to jest jakiś ssak?  
Wyszałem z mlekiem matki,  
że czyste trzeba zakładać galki.  
To gra o złote kalesony. Jestem skończony.*

Moje łóżko zalewa efekt cieplarniany.  
Pocę się, zmieniam piżamy.  
*trik-trak, jeśli to jakiś ssak,  
to dalej będzie tak:*

Śnię o zębach, które oznaczają pieniądze.  
Wgryzają się w nie erotyczne żądze.  
Czy coś mnie dziś w nocy gryzie?  
Bakterie na moim fryzie.

Podobno rosyjskie mamki  
śpiewały do snu kolysanki,  
zamknij oczka dzieciątko  
umrzyj, to śmierć niewiniątko.

Życie to nie sen. Sen to śmierć. Mam to z głowy.  
Co rano zacznym łowy.

## fantastycznie

obcuję z ludźmi i przyrodą, są takie momenty  
kiedy dociera do mnie, że ziemia jest planetą  
a nie tylko asfaltem, ubitą ziemią. Na przykład:

burze, chmury pędzące po niebie, księżyc,  
wtedy czuję się nieswojo dobrze. Czy moja  
dusza jest z kosmosu, z nieba

czy z hermetycznie zamkniętej dryfującej  
odrapanej puszki. Obcuję sam ze sobą?  
Jest mi dobrze, jakbym unosił się nad swoim

martwym ciałem i krążył jak sęp. W naszym  
nowym zoo sępy mają najgorsze klatki. Klatka  
po klatce jestem bohaterem science-fiction

wyznawcą potężnego kosmicznego bóstwa,  
kojącej próżni. Na mojej planecie nie ma życia  
w żadnej znanej postaci. Nawet Luke Skywalkera.

Nawet prostopadłościanu. Trzeba być kosmitą  
żeby porywać ludzi, jakimś popapranym  
wariatem. Wesole miasteczko szaleje

dzięki grawitacji.



**po śmierci chciałbym spotkać Jane Bowles,**

powiedziałbym jej: „przy pani czuję się  
jak w niebie“

## Bungalow Profesora Mattela

*Deszczylek pada, słońce świeci,  
czarownica goni dzieci*

*deszczylek pada, dupa blada  
czarownica ma sąsiada*

*deszczylek leje, grzmoty walą  
czarownica grozi lalom*

Profesor Mattel przynosi pytania:  
Czy niebo to martwa natura?  
Czy niebo to sekta? Czy kosmosu skóra?

*Deszcz to aniołków siki,  
grzmoty to pierdnięcia  
wiatr to wiatry. Szukoda dziatwy.*

Szukaj wiatru w polu. Jesteś  
walczącą bakterią, środek  
czystości uderza baterią.

Zjedliśmy obiad, zaczyna się spalanie.  
Czarownice konają na płonącym tapczanie.  
Jestem walczącą bakterią, idę od serca główną arterią.

*Czarownica goni gówniarzy,  
szast-plast, każdemu da po twarzy.*

*Ten dostanie ryj świni, inny  
paszczykę warchlaka*

*każde ludzkie szczenie  
ma we łbie chorego zwierząka.*

Trik-trak, poważny wiersz brzmiałby tak:  
człowiek jest zwierzęciem stadnym.  
Nawet na cmentarzu jak wyciągnie kopyta.

Nadchodzi Profesor Mattel i cała jego świta:  
krowiasta Daisy i goryl Walt  
są futra, jest pchli targ.

Ten wiersz jest na poważnie,  
z Profesorem i czarownicami  
tak tylko się drażnię.

To już jest koniec świata.  
Bioróżnorodność jest na lopatach.  
Dorastałem w chlewie, brudy były w zlewie.

Co tak naprawdę cię boli?  
To znów Mattel pyta siadając na łóżku.  
Aniele stróżu pilnuj mego gustu.

Wściekasz się, bo coś cię gryzie?  
To Humphrey Bogart w twojej głowie  
przerzuca zeszcłe listowie.

Napisz list do Świętego Mikołaja.  
Albo do Pana Boga. Prośba jak hulajnoga  
hulajdusza, piekła nie ma.

Jest tylko rakieta niebo-ziemia.

## Mieszane uczucia

Jest taki gatunek papug, ich nazwa wyleciała mi z głowy. Widziałem o nich program w TV. Żyją w buszu i żywią się najbardziej trującymi owocami, jakie tam rosną. Żadne inne zwierzę tego nie tknie. Papugi zapelniają sobie żołądki tym świństwem i od razu lecą na torfowiska. Tam, na skarpie, zajadają torf, który stanowi odtrutkę.

Tamtego lata Pigi i Gonzo spędzali wakacje na Krecie. Właściwie nie tyle na Krecie, co w hotelu, na przyhotelowej plaży i basenie oraz po drugiej stronie ulicy – w sklepie, bo przyjechali na wyspę wylegiwać się, a nie zwiedzać.

Podobało im się, ale z pewnością by się tu nie przeprowadzili. Któregoś dnia, po powrocie z plaży, już w pokoju hotelowym Pigi zauważyła, że między palcami u stóp nosi opiaszczonego, cudzego peta. Kreteńczycy palili wszędzie. W sklepie, przechadzając się z koszykiem między regałami, albo za kierownicą autobusu. W każdym razie pet musiał należeć do kogoś z hotelu, pewnie któregoś Anglika cały dzień udającego utratę wzroku i słuchu przed narzekającą żoną i szczęśliwą gromadą dzieci. Ani Pigi, ani Gonzowi nie przyszło do głowy iść do recepcji awanturować się z tak blahego powodu, jak niesprzątnięty pet, wzięli natomiast stamtąd zostawione przez turystów kolorowe brukowce. Najbardziej spodobał im się pictorial o tym, jak znana aktorka wdeptuje w pozostawioną na chodniku gumę do żucia i próbuje się jej potem pozbyć z podeszwy. Na czterech zdjęciach. Równie dobry był artykuł o lizaku, którym David Bowie dostał w oko podczas koncertu. Przy okazji pokłócili się, bo Gonzo twierdził, że Bowie ma jedno oko sztuczne a Pigi uważała, że to bzdura. Jeśli chodzi o nacje, to należy jeszcze dodać, że Gonzo był brany przez wszystkich sprzedawców i kelnerów za Rosjanina, a Pigi, jeśli akurat wyszła bez niego, była na świecie uważana za Rumunkę.

– Ble! – Pigi z obrzydzeniem wyniosła peta do łazienki i wyrzuciła go do ubikacji. Oplukala się pod prysznicem i owinięta w ręcznik wróciła do pokoju. Gonzo leżał na łóżku w samych gaciach i drapał się po jawkach z pasją zawszonego kundla.

– Przestań świnio – usiadła obok niego, pacnęła go po łapach.

– Ty jesteś świnia! – odszczekał się jej, pociągając za ręcznik tak, by odsłonić jej duże piersi. Stanowili parę w typie: potężna Walkiria i mały jurny kogut. Przynajmniej z wyglądu.

Pigi wróciła do łazienki. Gonzo wrócił do drapania.

– Ty już mnie nie kochasz – powiedziała na tyle głośno, żeby usłyszał.

Po chwili Pigi zjawiała się w pokoju zawinięta w kolorową, przewiewną chustę. Położyła się na łóżku plecami do Gonza.

– Masz rację – po chwili milczenia odezwał się lekko zalamującym się głosem, sam przestraszony tym, co mówi. Nie odwróciła się w jego stronę, zamarła.

– Co ty mówisz? – zapytała w końcu, nie wierząc, że Gonzo mógł to powiedzieć.

– Nie kocham cię już.

Gonzo złapał się na tym, że chce czule pogłaskać Pigi, zatrzymał się dopiero w pół ruchu.

– Bez sensu, że zapytałam.

– I tak chciałem ci to powiedzieć. Tylko się bałem.

– Bales?

Pigi wyrwało się jakieś fałszywe parsknięcie.

– W sumie nie wiedziałem, jak ci nie zepsuć wakacji.

– Idiotyczne. To znaczy, ja idiotka.

– Chciałem ostatniego dnia albo po powrocie.

– Jest ktoś?

– Nie, to nie o to chodzi. Po prostu się skończyło.

– Bez sensu.

Pigi wstała z łóżka trochę jak połamana, schorowana staruszka. Znowu łazienka.



Po jakimś czasie Gonzo zapukał. Siedziała w pełnej wannie. Mydło dostało jej się do oka.

– Coś jeszcze? – zapytała, płucząc twarz. Wyglądała jak pływaczka, ofiara jakiegoś mordeczego dystansu. Albo matka relacjonująca przed kamerami przebieg sztormu, który porwał jej dwójkę dzieci. Gonzo na odwrót, wysuszony patyczak, usiadł na sedesie tak ostrożnie, jakby to groziło złamaniem jego chudych kończyn.

– Nie – odpowiedział.

Zanurzyła się i wynurzyła.

– Co z mieszkaniem?

– Wyprowadzę się od razu jak wrócimy.

– I gdzie zamieszkaasz?

Westchnął ciężko.

– Pojadę do Wrocławia.

Pigi cały czas starała się na niego nie patrzeć. Skupiała się na myciu.

– Do Wrocławia?

– Jest taka dziewczyna. Studentka...

– Mówiłeś, że nikogo nie ma.

– Chodziło mi tylko o to, że to nie tak. Z tą studentką to nawet nie wiem. A tak czy siak się skończyło.

– Ciekawe.

– Akurat we Wrocławiu ma praktyki.

– Fascynujące.

Potem Pigi usiadła na balkonie, opalać się. Starala się nie myśleć. Gonzo usiadł na łóżku, włączył telewizor. Rozważał w myślach różne kwestie: ile kosztuje samolot powrotny, jeśli chciałby wracać jutro, albo o łóżku, że jest jedno i jakoś będą musieli do końca turnusu spać i czy nie zaproponować pożegnalnego ostrego seksu. Później Pigi zaczęła się martwić, jak to wszystko opowie mamie i koleżankom, i że wyjazd jest spierdolony. Pomyślała też, że czeka ich jeszcze dwanaście nocy w jednym łóżku i jakoś będzie trzeba obok siebie spać. Zaczęła sobie wyobrażać, jak będzie wyglądała wyprowadzka Gonza i jeszcze taki wariant, że teraz, na pożegnanie, przez dwanaście

nocy ostro się rzną. A za dnia podrywają nieznajomych, każdy na własną rękę. W tym czasie Gonzo doszedł do momentu, w którym ona sprowadza im do łóżka barczystego Holendra z parteru i każe się im we dwójkę posuwać.

W nocy położyli się obok siebie. Pigi dostała ataku szloch.

Wtedy Gonzo też się rozplakał, nawet głośniejsze niż ona.

– Ja już nie chcę – wyszeptał, cicho wyszłochał.

Pigi zaczęła go głaskać.

– Czego nie chcesz?

– Od ciebie odchodzić.

Ledwo co Pigi odzyskała panowanie nad sobą, znowu je straciła.

Po jakiejś godzinie w końcu uspokoili się. Postanowili, że dadzą sobie drugą szansę. Rano wrócili do opalania, smarowania czymś na opalanie, pluskania i wycierania.

Nad basenem podziwiali starszą parę – kobieta jeździła na wózku inwalidzkim, żadnym zresztą specjalnym, to był jakiś wysłużony model. Oboje mieli w sobie swobodę i radość młodych kochanków, cały czas uśmiechali się, mężczyzna usługiwał swojej pani, przynosił jej lody i piwo, a ona opalała się bez stanika albo leżała w małym jacuzzi. Widzieli też ich na wieczorne bingo. Kiedyś do Pigi i Gonza podszedł basenowy kaowiec proponując im turniej w strzelaniu do tarczy z luku. Kiedy indziej widzieli go, jak kieruje grą w lotki tuż przy plażowym barku. Potem Gonzo, który czasami pisywał książki, umieścił kaowca w swojej powieści, nadając mu latynoskie imię Jesus. W ten sposób chciał nawiązać w swoim utworze do kryzysu chrześcijaństwa i świata bez boga, ale jakoś nikt tego nie zauważył. Co jeszcze? Na śniadanie mieli szwedzki stół, przez dwa tygodnie to samo, ale w różnych kombinacjach. Pigi częściej wybierała fasolkę i pudding, Gonzo zagustował w bekonie i jajkach. Na obiadową kolację też był szwedzki stół, oczywiście obfitszy. Wieczorem wychodzili na drinka.

Z wakacji wrócili bardzo zadowoleni. Pigi zwierzyła się co prawda matce i kilku przyjaciółkom, że Gonzo ją rzucił. Matka przeczuwała, że tak będzie, bo przeczytała niedawno, że czterdzieści procent rozstań ma miejsce podczas lub bezpośrednio po wakacjach. Przyjaciółki podzieliły się na te, które też przeczuwały – wiesz, ja nigdy nie dawałam wam wielu szans, najwyżej tydzień – oraz na te bardzo zaskoczone. Według tej drugiej grupy Pigi i Gonzo stanowili idealną parę, a Gonzo w życiu by muchy nie skrzywdził ani studentki na boku nie bzyknął.

Gonzo studentki nie przeleciał. Unikał jak ognia tej iskry, która rozpalila mu głowę. I dwa razy spłonął ze wstydu, gdy trafił na nią na mieście – chował się jak mógł. Wyrzucił jej numer z telefonu, nie odpisywał na sms-y i wypracował sobie w duchu teorię, zgodnie z którą jeśli zaczyna się coś jak palant, to nie ma innego wyjścia, niż jak palant to skończyć. Poza tym doszedł do wniosku, że zachował się jak ostatni głupek i że w ogóle nie ma porównania. Ona czy ona.

Wrócili do życia. Pigi rozkręcała w mieście rolki. Miała małego szefa z nosem wielokrotnie obitego boksera i przemowami biznesowego kaznodziei, których nauczył się pracując w Australii. Gonzo nie był gorszy. Wymyślał reklamy aut, które sprzedawały Wielkie Idee: Bezpieczeństwo, Komfort i Boską Wręcz Technologię. Pigi wymyśliła, że trzeba w końcu zamienić mieszkanie na większe. Gonzo wyczuł od razu, że chodzi tutaj o test, sprawdzenie kredytu zaufania. Za wizytami w banku, rozmowami z rodzicami i wyborem panele czy kafelki kryło się oczywiście, choć podskórne pytanie. Powiedział to jej, Pigi przyznała mu rację. Razem postanowili, że tego chcą.

Poszło szybko. Znaleźli ogłoszenie, ktoś chciał zamienić większe mieszkanie na mniejsze. Spotkali się z tymi ludźmi. Ich świat właśnie niebezpiecznie się kurczył. Mieszkanie przepelniał zataęchły zapach głupkowatego, wyszczerzanego pekińczyka. Córka miała koszmarnie podkrążone oczy. Wyglądali tak, że albo

on pije i może bije, albo ona pije i może nawet mu przyłoży, albo razem zapijają się na śmierć. W każdym razie, sprawiali wrażenie takich, co to dużo już w życiu wykrzyczeli. Bez pytania opowiedzieli swoją historię. Kiedyś mieli pieniądze, szczególnie wtedy, gdy on był taksówkarzem a jej szef płacił cztery razy więcej niż teraz. Szyla stringi, również na prywatne zamówienia. Pigi czasami nosiła coś takiego, owszem. On samochód już sprzedał, ale jak znajdą się pieniądze, to z powrotem kupi. Jeszcze wcześniej był milicjantem prześladowanym za Solidarności, która mu w tamtych czasach dom podpaliła. Ich syn piłkarz gra obecnie w czwartej lidze a córka biega maratony, gdyby jedna taka szybciej się z pewnymi rzeczami nie uwinęła, córa poleciałaby na olimpiadę, dali do zrozumienia. Potem obejrzeni piwnicę z urzędową tam mini-siłownią. Mata do ćwiczeń, rowerek i plakaty z umięśnionymi kobietami lub zniewieściałymi, tlenionymi piosenkarzami. Teraz nie mają na to wszystko kasy, wszystkim wiszą jakieś nieopłacone rachunki. Dlatego telefon domowy nie działa. Kredyty są potworne, banki nie mają sumienia.

Pigi i Gonzo obawiali się trochę tej transakcji. Jeśli tamci, tamta lub tamten, po pijaku będą dobijać się do drzwi swojego dawnego mieszkania? Będą klócić się między sobą o feralną przeprowadzkę i wciągną ich w swoje bitwy? Córka zamknięta ze zdegenerowanymi rodzicami w czterech ścianach malej klitki. Czy będą potrafili spojrzeć jej w oczy? No i pytanie moralne. Ratują ich przed bankructwem, czy też tylko ten dramat pogłębiają? Swoje dorzucił podpytywany przy okazji dozorca. Miał pokaźny zbiór skarg na ekstaksówkarza i jego żonę. Jedna historia wystarczyła za wszystkie. Opowiedział im, jak pijaczka, sąsiadce, z którą się pokłócili, osikała w nocy próg i wycieraczkę.

Okazało się, że w obu mieszkaniach gnieźdzą się te same robaki, już pierwszej nocy Gonzo w drodze do łazienki napotkał znajome rybiki. Od razu wziął się za wysypywanie trutki. – Przede wszystkim podłogi. Niedobrze mi, jak patrzę na to linoleum – Pigi, już w koszuli nocnej, obserwowała pracę Gonza.

- Uciekaj! – fuknął na nią – Na bosaka w trutkę?!
- Nie rozpakowałam kapci... Muszą być panele, linoleum to masakra.
- Trutka!
- Panele.
- Trutka...
- Linoleum kojarzy mi się ze śmiercią...
- Na bosaka!

W tym czasie Pigi rozkręcała w mieście nowy klub z aerobikiem. Jej szef był prawdziwym dwumetrowym olbrzymem, legendy krążyły o jego porozmieszczanych w licznych garsonierach kochankach. Gonzo wymyślał reklamy aut, które napędzały Wielkie Idee: Roztropność, Rozmach i Rozrzutność. Postanowili, że to on zajmie się doglądaniem remontu. Ekipa składała się z czterech robotników. Dwóch nie lubiło się odzywać, jeden był nawet niechętny lapaniu kontaktu wzrokowego z drugim człowiekiem. Trzeci, ich szef, był najstarszy i najrozsądniejszy. Łykał tabletki na bolące jak diabli zęby i z coraz większym strachem słuchał opowieści o szwagrach i braciach, którzy trafili po czymś takim do szpitala. Czwarty, specjalista od kładzenia kafelków w łazience, lubił sobie pośpiewać:

*Idę do ciebie,  
to weź się w kupa,  
niosę ci wiadro,  
i wsadzę w dupę!*

Do Gonza mówili „szefie”, ale największe wrażenie zrobiła na nich Pigi, mówiąc, że chce mieć wannę w łazience w kolorze oczojobnym.

– To będzie trzeba podać dalej. Jak się pani szefowa zgodzi – ucieszył się stary.

Cała czwórka była z tej samej wsi. Wyjeżdżali od siebie o piątej rano, żeby na siódmą być na miejscu. Mieli do dyspozycji poloneza, lekko dziurawego po bokach, więc żeby nie wiało nakrywali się kocem. Gonzo i Pigi byli bardzo z nich zadowoleni. Sprzątali po sobie, przyjeżdżali z własnym prowiantem i krępowali się poczęstować czymkolwiek. Pomalowali wszystkie

pomieszczenia, korytarz na krwistoczerwono, salon na zdechły zielony, sypialnię na kakaowy brąz, kuchnię na ikeową żółć a gabinet Gonza po prostu na biało. Pozawieszali szafki, położyli kafelki. Na panele chwilowo nie starczyło kasy.

– O czwartej wstaję, żeby stwory nakarmić... Potem jedziemy, robota, potem w domu wieczorem człowiek zasypia przed telewizorem, ale coś z tego życia trzeba mieć, to ślepią na zapalkę, i się ogląda. Kubę Wojewódzkiego, wszystko, człowiek jest na bieżąco – tak kierownik brygady streścił swoje życie.

Gonzo starał się poprawić, przede wszystkim nie burczeć na Pigi. To mu zarzucała najczęściej, a teraz mieli popracować nad związkim, takie były ustalenia. Dotąd zdarzały się dni, że nie można go było o nic zapytać, od razu się jeżył. Teraz opowiadali sobie nawzajem, co dzieje się u nich w firmach. Pigi o pomysły, żeby wszystkie instruktorki aerobiku spotykały się co sobotę, i uczyły nawzajem swoich specjalności. To w razie konieczności zastępstwa. I że zastąpiła obcoobrzmiące nazwy zajęć bliższymi dla klientek, na przykład: Brzuszkio-Uda-Poślądki. Gonzo mówił jej sporo o debacie, czy Idei Roztropność, Rozmach, Rozrzutność nie zastąpić Nowymi Pojęciami Swobody, Synkretyzmu i Pozytywnego Snobizmu. Pracowali też nad tym, by ich seks stał się bardziej czuły i urozmaicony.

– Czasami mam wrażenie, że robisz to ze mną jak zwierzę. Byłe się tylko wyladować – w chwili szczerości poskarżyła się Pigi.

Raz podeszli pod okna swojego starego mieszkania. Zatrzymali się niby to przy śmietniku. Było to tydzień przed Bożym Narodzeniem. Na oknie wisiał czerwony neon-serce jesusowe oraz gęsta dekoracja z lampek choinkowych. Był też kartonowy Święty Mikołaj.

– Myślisz, że zrobił ściankę działową? Widzisz coś? – zapytała. Kiedy indziej, na zakupach Pigi spotkała dawną sąsiadkę.

– Koszmar. Nie zamykają drzwi do mieszkania, wszędzie słychać ich telewizor. Tragedia – poskarżyła się kobieta.

Poza tym parę razy ktoś zadzwonił domofonem, chcąc zamówić



majtki. To była chyba za każdym razem ta sama osoba, jakby ktoś nie mógł uwierzyć, że tamci się wyprowadzili. Nic złego się nie działo. Pigi miała jedynie zły sen. Siedziała w dużym fiacie, nie wie, jak się w nim znalazła, auto prowadził Gonzo, który przecież nie ma nawet prawa jazdy, a z tyłu była ona, i aż trzy zakonnice. Kobiety gwałciły ją, ale najbardziej przerażający był moment, kiedy Pigi zorientowała się, że ma penisa. Gonzo był na nią o to wściekły, ani myślał jej pomóc w szarpaninie z zakonicami.

Pigi zapisała się na zajęcia z samopoznania. Pracowały w grupie dwunastu dziewczyn. Na pierwszych zajęciach, po godzinie znajomości, dostały zadanie opisanie siebie nawzajem przy pomocy porównań do różnych rzeczy, takich jak auta czy piosenki. Pigi aż czterem dziewczynom skojarzyła się z szybkim, czerwonym, sportowym samochodem Ferrari, ale był też nieszczęsny duży fiat oraz wóz drabiniasty. I melodia z *Dziękuję Rosemary*. Podczas kolejnych zajęć grupa wspólnymi siłami odkryła, że Pigi ma dwa problemy: matkę i chłopaka. Matkę, dlatego, że ciągle jest traktowana przez nią jak dziecko, z kolei o swoim facecie cały czas mówi bardziej jak o własnym synku, niż o mężczyźnie, samcu. Tak, czy siak, akurat z Pigi sprawy nie miały się jakoś specjalnie źle. Gorzej było z innymi dziewczynami.

Kiedy opowiedziała mu sen o zakonicach i dużym fiacie, Gonzo chciał wiedzieć, czy skoro ona miała penisa, to czy on miał cipkę. Czy rozebrał się, było coś widać? I czy penis Pigi był jego penisem? Tak dokładnie, z wyglądu. Bo według niego to coś mogłoby znaczyć. Poruszać na przykład temat zdrady, odkrytej zdrady. I zadry, jaką ona zostawiła. Pigi nie potrafiła na to odpowiedzieć, ale po zastanowieniu dodała, że czuła bardzo wyraźnie, że to jest jej penis. Nie myślała wtedy ani trochę o penisie Gonza, jedynie o jego obowiązku ratowania jej przed gwałcicielkami. Obowiązku, który zaniedbał. Tego dnia Gonzo przyniósł ze sklepu kilka podłużnych, walcowatych lizaków i jeden w formie klasycznej, okrągłej kulki, wszystko

w celu urozmaicenia ich przygód w łóżku. Pigi tylko popukała się w głowę. Wtedy Gonzo wypominał jej, że sama mu kiedyś opowiadała, do czego jej poprzedni facet używał zielonych ogórków. Kupował je w tych samych delikatesach, z których pochodziły lizaki.

Tuż po zakończeniu remontu kupili sporo nowych mebli. Przede wszystkim duże łóżko z metalowymi ramami, takie przy którym wszyscy bez wyjątku zaczynają fantazjować o kajdankach z cicikiem i seksie z bacikiem. Nawet facet przed nimi w sklepie meblowym zaczął ten temat. Potem wszyscy znajomi, którzy ich odwiedzili też zaczynali tę śpiewkę. Pigi za każdym razem odpowiadała, że Gonzo woli ją przyklejać do materaca przy pomocy gum do żucia. I cementować lepką oranżadą. Poza tym kupili dwie szafy, mniejszą i większą, i komodę do kompletu z szafami. Stół, który zajął prawie połowę kuchni, znaleźli na przecenie. Biurko dla Gonza, też bardzo duże, bo do takich przyzwyczaił się w pracy. Skręcając komodę, zauważyli na wewnętrznych ściankach szuflady napisy kredką w niezrozumiałym języku. Litery były bardzo duże, jakby rysowało je dziecko.

– Mam nadzieję, że to nie jakieś voodoo – całkiem poważnie zaniepokoił się Gozno.

– Już tego nie wymienimy. Przecież nam nie uwierzą – Pigi jeszcze raz policzyła wszystkie bolce i śrubki, sprawdzając ilość z instrukcją.

– Myślisz, że produkują to na Filipinach? – Gonzo postanowił odrysować napis na kartce.

– Zaraz to zmyję.

– Może lepiej nie ruszać.

– Jak chcesz – wzruszyła ramionami – Jest o jeden bolec za dużo.

– Dziwny ten komplet. Podejrzany.

W pracy było coraz lepiej. Pigi zaczęła z wielkimi sukcesami nagłaśniać lekko zapomniany teatr. Jej szef miał kompletnie zachrypnięty głos oraz radykalne przekonanie co do świętości Biblii i papierosów. Uważał, że obie jego religie są w dzisiejszych

czasach bezpardonowo atakowane. Gonzo pracował nad coraz lepszą sprzedażą niemieckich aut symbolizujących Status, Satysfakcję i Samoświadomość. Wyniki były bardzo dobre. Ukończył także dobrze przyjęty przez znajomych poemat *Stany*, traktujący o kryzysie człowieka pogrążonego w odmetach świata gnębionego przez kryzys duchowości oraz załamanie wszystkich konsumpcyjnych idei. Pigi zaopatrzyła się w komplet kart buddyjskiej wersji Tarota, wraz z podręcznikiem. Podczas gdy Gonzo oglądał telewizyjną relację z kortów Rolanda Garrosa, Pigi zjrzała w swoją przeszłość, teraźniejszość i przyszłość. Była w szoku, ile rzeczy się zgadzało. Karty powiedziały, że czeka ją Wielka Podróż w Celu Poznania Samej Siebie.

– Nawet nie wiesz, jakie mamy szczęście...

Pigi promieniała, wróciła do domu z radosną nowiną.

– Malta. Milioner. Mamy już bilet – doprecyzowała, przy okazji dając Gonzowi powitalnego całusa.

– Autorytet. Autokontrola. Aspiracja... Kochanie, pracuję... – Gonzo siedział zasępiony nad pustą kartką.

– Bierzesz urlop, i jedziemy. Załatwiłam nam wyjazd. Służbowy, ale nieformalny. Malta. Milioner. Mamy fuksa.

Milioner miał na imię Kermit. Kiedyś był akademickim filozofem, ale rzucił to dla żeglarstwa i dorobił się fortuny na handlu granitem z Jemenu. Akurat trafił na dobry moment. Był zainteresowany sprowadzeniem teatru Pigi na wyspę.

Na lotnisku czekał na nich kierowca z minivanem.

– Miss Pigi? – było jedyną kwestią, jaką do nich wypowiedział.

Później zorientowali się, że tutaj nikt nie lubi odzywać się do przyjezdnych. W samochodzie mężczyzna miał figurkę z Matką Boską, która i tak potem okazała się niewielka, w porównaniu z otaczającymi ich wszędzie świętymi figurkami.

Kermit załatwił im pokój gościnny w samym centrum stolicy, w zabytkowym teatrze.

– Hello! – powiedział portier.

Poprowadził ich schodami w górę i otworzył drzwi. Właściwie, drzwiczki.

– Jezu, tu żaden Amerykanin by nie wszedł! – zaśmiała się Pigi. Nawet chudy Gonzo przeciskał się bokiem.

Wkrótce zaobserwowali, że wąskie drzwi, to także maltańska specjalność.

Kermit, który mieszkał gdzieś poza miastem, umówił się z nimi przed Grand Hotelem.

– Tutaj, jak się robi z kimś interesy, to najpierw trzeba się dobrze poznać – powiedział na wstępie, podając im rękę. Pyknął pilotem i płócienny dach żółtego sportowego BMW, którym po nich przyjechał, zaczął się zgrabnie otwierać i chować w bagażniku – Piękna architektura, prawda? Widzieliście środek? – zapytał i poprowadził jeszcze do hotelu. Przeszli przez hol i trafili do sali klubowej w brytyjskim, arystokratycznym stylu.

– Tu Amerykanie i cała Europa kręcą filmy. Takiego Monte Christo... – podał rękę barmanowi, uklonił się paru dostojnym osobom – Wszyscy się tu znają. Ale pewnie teraz jesteście zmęczeni, zostawimy to sobie na potem...

Co rano Pigi i Gonza budziły dzwony kościelne. Odzywały się przed szóstą, więc potem zapadali jeszcze w nerwy sen. Budzili się spoceni.

– Co za klimat... – Pigi najchętniej nic by na siebie nie zakładała. Gonzo żartował, że Kermit tylko na to czeka.

Dzwony towarzyszyły im przez cały dzień. Odzywały się w nieregularnych porach, w różnych częściach starego miasta. Ulicami co chwilę przechodziły grupki zakonnic lub śniadzi księża z tajemniczym błyskiem w oku. Matka Boska z dzieciątkiem była obecna prawie na każdych drzwiach, przynajmniej jako kolatka. Przed bazyliką natknęli się na ekipę telewizyjną kręcącą maltański serial.

Kermit wywoził ich z miasta i pokazywał uroki wyspy. Mógł prowadzić auto i pić whiskey, nikt tutaj tego nie zabraniał.

– Jeśli zatrzymają mnie i stwierdzą, że nie dam rady jechać, poproszą tylko, żebym przesiadł się do tyłu i odwozą grzecznie do domu. Tym tutaj zajmuje się policja – chwalił też inne dobre pomysły, jak podatek cztery przecinek szesnaście procenta.

– Tu grają w golfa, a na obwodzie pola mają wyścigi konne – rzeczywiście, kiedy to mówił, śmignął im przed oczami sportowy konny rydwan. Jeden, za nim drugi. Na niskim murku siedziały całe rodziny, ludzie jedli kanapki.

– Boże, dobrze, że ta pileczka nie trafiła w konia. Albo w jakiegoś widza – Pigi zmartwiła się dość ryzykownym zagranieniem.

– Tu brakuje miejsca. Muszą oszczędzać przestrzeń, wyspa jest za mała. Pokażę wam, gdzie Amerykanie kręcili *Troję!* – Kermit co chwilę dociskał pedał gazu. Najbardziej cierpiał Gonzo na tylnym siedzeniu. Jeździli cały czas z odkrytym dachem, a on nie wiedział już, czym ma się zaslaniać przed pędem powietrza. Oczy mu łzały, mimo okularów. Pigi uśmiechała się do niego w lusterku.

– O, widzicie te paliki wbite w ziemię? To na polu? Widzicie, na każdym jest położona cegła, albo jakaś deska? To teraz pytanie, do czego to im służy?

– Nie mam pojęcia! – wykrzyczał Gonzo, tak, żeby było go z przodu slychać.

– A widzicie te budy, albo tam, przyczepę kempingową. Oni tu mają taki sport, kryją się w budach i strzelają do ptaków, które siadają na palikach. I to od lat. Teraz unia europejska ma z nimi kłopot!

Kiedy przejeżdżali obok cmentarza, Gonzo zauważył wyrzeźbionego na bramie kościotrupa.

– Kiedy kupowałem to mieszkanie, ta marina wcale nie była sławna. Ani taka droga. Miałem cholerne szczęście, dopiero po roku udziały w całym kompleksie kupiła Madonna... Teraz to jest najdroższe miejsce, tu mieszka menadżer czerwonych diablów, Alex Ferguson, tam David Beckham, bo Ferguson go namówił, a tam Michael Schumacher. Sama piekielnie bogata elita.

I wszystkich widać z tego balkonu...

Usiedli z drinkiem na tarasie. Pigi i Gonzo pierwszy raz widzieli coś takiego. Na dole, w wewnętrznej zatoczce mariny cumowały jachty. Zaczynało się ściemniać. Z tarasu restauracji dochodziła do ich uszu delikatna muzyka. Jakiś świergot.

– Kto tu nie był, na tym balkonie. Minister, reżyser, każdy tu

chce się dostać... – Kermit mówił z wielką satysfakcją. Właśnie poznali jego żonę, która mimo prawie czterdziestu lat i dwóch dzieci z pierwszego związku, wyglądała jak dwudziestolatka.

– Co za laska. Wygląda sto razy lepiej ode mnie – Pigi szepnęła-  
-jęknęła Gonzowi do ucha.

Foo-Foo kiedyś była kosmetyczką i miała beznadziejnego męża. Lepiej nie wspominać. Potem pojawił się Kermit, który wyrwał ją z tamtego piekielka. Dwunastoletnia córka Foo-Foo wyglądała jak największe marzenie pedofila. Siedziała cicho z boku i odzywała się grzecznie do Pigi i Gonza – pani i pan.

– Też śpiewa. Będzie kiedyś jeszcze lepsza od Foo-Foo... Kiedyś stworzą wielki duet! – Kermit pochwalil małą. Jej brata wysłał do USA, do szkoły lotniczej.

– Zapytałem, co chce w życiu robić. Tak samo Foo-Foo. Zapytałem ją, a ona powiedziała, że chce śpiewać. Płyta będzie gotowa za rok. Nie ma się co śpieszyć, lepiej dopracować materiał. Co nagle, to po diable. Tu mają świetne studia dźwiękowe, lepsze niż w Wielkiej Brytanii. Hollywood tu masę produkcji nagrywa...

Po kolacji Foo-Foo wystąpiła z minirecitalemb.

– Jakbym słyszał Sade – zachwycił się Gonzo.

Przenieśli się na kanapę.

– Z Maltanami wcale nie jest tak łatwo. To jest trudna publika. Chce tylko czegoś naj. To za mała społeczność, żeby przyjść na koncert kogoś z drugiej ligi. Musi być pierwsza. To musi być Elton John, na coś poniżej nie przyjdą. Elton John dał koncert właśnie tu na dole, na przystani. I tak tu wygląda. Druga liga nie istnieje. Tylko pierwsza...

Kermit ciągle pił, wciąż nalewał i mówiąc, coraz bardziej zbliżał się do twarzy Gonza.

– Australijczycy to największe bydło. Większego chamstwa świat nie widział. Pierdzą, bekają... Jak zwierzęta. Ja się wcale nie dziwię tym zamachom, bo tam na Sumatrze było najwięcej Australijczyków. Oni tam przyjeżdżają jak stada bydła...

Twarz Kermita nabierała coraz większych rumieńców. Wszyscy inni milczeli, Gonzo chciał coś wtrącić, ale był zbyt cichy i miał za małą siłę przebicia.

– Dla Maltan istnieje tylko taki Elton John. Na nikogo poniżej nie przyjdą. Po prostu. To jest za mała publika. Tylko pierwsza liga... Kermit był bliżej i bliżej. Gonzowi zrobiło się niedobrze, zachciało mu się wymiotować.

– Przepraszam, toaleta?

– Australijczycy to jest takie chamstwo, pierdzące, bekające bydło. Małpy. Tubylcy nie mogą znieść ich widoku, to jest jak plaga, szarańcza...

Pigi wyszła z kieliszkiem na balkon. Oparła się o barierkę.

W apartamencie Beckhama panowała ciemność.

– Nie jestem tak do końca szczęśliwa – powiedziała.

Po chwili dołączyła do niej Foo-Foo.

– On ma takie napady. Przepraszam...

Pigi tylko potrząsnęła głową, dając do zrozumienia, że nie ma za co przepraszać.

– Pięknie, prawda?

## **streszczenie**

autor pisze o dramacie ludzi, których życie można streścić w jednym banalnym zdaniu.



## Taka karma

Nasza kotka przerywa zabawę z ogonem na czas reklamy żarcia dla kotów, chodzi chyba o muzykę, którą pewnie specjalnie tak skomponowali specjaliści z pomocą zwierzęcych psychologów

Patrzy w telewizor a ja na nią, po reklamie wraca do swojego świata

Pisałem akurat serial tv, siódmy czy ósmy odcinek równocześnie słuchając muzyki Clinta Mansella, która mówi głównie o śmierci i nagle zrobiło mi się tak cholernie żal moich bohaterów i tego ich życia

Z odcinka na odcinek. Ola trochę obrazila się na mnie

A przynajmniej jest jej smutno, że ostatnio tak mało poświęcamy sobie uwagi. Słucham w kółko tego samego utworu, bo to pomaga mi się skupić. Potem Ola zakłada na siebie moją bluzę i kładzie się obok mnie, potem wstaje

Terminy gonią a ja nie mogę wszystkich tak po prostu uśmiercić.

Tyle razy liczyliśmy, że kotkę zainteresują lwy i pantery z animal planet, a tu masz. Ja nie mogę oderwać wzroku od tak cudownie afrykańskich sutków Oli, widzę ją w lustrze, wróciła do sypialni naga. Za te „afrykańskie” będzie na mnie zła.

Czy to pasuje, tak kochać się na smutno.

## Kraniec świata

Dzieciaki pojechały ze stryjcem oglądać ostatni taki spęd koni w Wirginii, więc Jane i William jedli kolację sami. Jane powiedziała, że według niej w ich związku nie ma już ani odrobiny życia, że wszystko się kończy, przyznała się też, że już ze trzy razy chciała go zdradzić i że raz nawet to zrobiła, niby z nudów, ale tak naprawdę, bo miała powody. Godzinę później William odebrał telefon, o którym nie chciał rozmawiać, stwierdził tylko, że w ogóle odechciało mu się cokolwiek mówić. Po prostu zaczął się pakować a skoro świt wyjechał. Burknął tylko, że wezwali go zwierzchnicy, najwyżsi z najwyższych. Przy śniadaniu Jane włączyła telewizor i dowiedziała się, że ziemi grozi kosmiczny kataklizm w postaci meteorytu. Może to i dobrze, skoro wszystko wokół takie kulawe, niech się rozpierniczy, pomyślała. Chwilę potem obciagneła listonoszowi, który akurat się napatoczył. Nie przyszedł z żadnym listem, tylko z ankietą ogólnego zadowolenia klientów i ogólnym pytaniem o przyszłość. Jak ją widzą. Jane nie chciała odpowiadać. Listonosz skomentował to wszystko zdaniem, że nigdy nie zrozumie kobiet i dodał, że ma nadzieję, że ta, którą NASA wytypowała do misji ratunkowej, wszystkiego nie schrzani, bo według niego powinni lecieć sami faceci. Najlepiej nieżonaci, skupieni tylko na jednym celu. W tym czasie William był już na miejscu i przechodził pobieżne testy, czy wszystko z jego zdrowiem okej, pobieżne, bo wszyscy śpieszyli się jak diabli. Równocześnie badania przechodziła Miriam i Jake, bo załogę skompletowano z trzech astronautów, tłumaczono im plan i uzbrajano w pośpiechu ich prom *Athena*, dotąd przygotowywany do zupełnie innej misji. Nikt nie chciał odpowiedzieć im skąd to zaskoczenie i histeria, bo przecież takie kosmiczne katastrofy nie biorą się znikąd. Naukowcy tylko przewracali oczami, nabierali wody w usta i wznosili ręce do nieba. *Co za cyrk, słonie pouciekały, gravitacja przestała działać* – skomentowała Miriam i miała rację. *Cała nadzieja w Bogu i w twoim palcu* – tak jeden z jajogłowych szepnął Williamowi do ucha. Wystartowali jeszcze tego samego dnia. Chwilę później Miriam

zorientowała się, że Jake nie żyje. W jego kieszeni znalazła pusty flakon po jakichś pastylkach. *Cholera, wziął stonioną dawkę*, to były jej pierwsze słowa. Potem się posypała. Jake opowiadał jej o swoich problemach z toksycznym ojcem, ale kto w dzisiejszych czasach nie ma za sobą takiej popaprannej historii. Zwierzał się, że czuje się coraz bardziej zagubiony, tak jakby stał pośrodku Sahary i chciał sięgnąć do kieszeni po kompas, a zamiast niego znalazł garść piachu. Kiedy zeszła na swój temat, zaczęła naprawdę płakać. Ona też wyobrażała sobie swoje życie inaczej. Właściwie nie wie jak, ale na pewno nie w ten sposób, żeby podczas obiadu z najbliższymi czuć się jak marionetka na sznurkach, potem siedzieć przed telewizorem jak jakaś klaszcząca pacynka, potem iść na zakupy i świrować na nich jak jakiś naćpany manekin sklepowy, a na koniec, w łóżku ze swoim facetem, dawać dupy jak dmuchana lala w najtańszej wersji, za trzydzieści dolarów. Akurat nawiązało z nimi kontakt Centrum Dowodzenia, więc uspokoiła się na chwilę i powiedziała chłopakom na dole, że wszystko idzie zgodnie z ustalonym scenariuszem. *Nie byłam im w stanie powiedzieć o Jake'u, to by mnie zdumuchnęło, jak trząśnięcie drzwiami domek z kart*. Wtedy William ją pocałował. Zrzucili z siebie te pieprzone skafandry. *Czyję się w nim jak stonica*. Położyła się naga przed Williamem, a on wyszeptał, *jesteś śliczna jak zgrabna łania*. Wtedy w *Athenę* uderzył kosmiczny śmieć. Wydawało się, że to nic groźnego, a jednak uszkodzenia okazały się znaczące. Centrum Dowodzenia już po chwili miało jasność. System wystrzeliwania pocisków nie działa a na jego naprawę brakuje czasu, kilkunastu godzin. Potem Centrum zamilkło na dłuższą chwilę. Kiedy z powrotem nawiązali połączenie, do astronautów zwrócił się prezydent. Wyjaśnił, że dla Ziemi jest już tylko jeden ratunek. Ponieważ nie mogą wystrzelić raket w kierunku meteorytu, jedyne, co mogą zrobić, to uderzyć w niego *Atheną*. Wie, że to co mówi jest straszne, ale prosi ich o to największe poświęcenie w imieniu całej przerażonej ludzkości. *Jasne*, powiedziała Miriam. Prezydent podkreślił, że jeszcze nikt od czasów Prometeusza nie stanął przed takim zadaniem. Że poświęcają życie dla uratowania całej ludzkiej cywilizacji, że każda ludzka istota modli się w tej

chwili za ich dusze i że dłużej już nie może mówić, bo ma lzy w oczach. *Jasne*, rozłączyła się Miriam. Przez następne godziny kochali się z Williamem jak szaleni. *Nie mam nikogo, tylko ciebie*, powiedział. *Chcę o wszystkim zapomnieć*, szepnęła. William zasiadł za aparaturą. *Jaki kurs?* Zapytał, jeszcze niepewny czy dobrze się zrozumieli. *Jak najdalej stąd*, odpowiedziała spokojnie. *Athena* była przygotowywana na długą misję dla dużej załogi. Mieli tlenu, wody i pożywienia na ładnych parę lat. Minęli metor pędzący w sporej odległości od nich. Potem oglądali katastrofę. Planeta Ziemia rozpadła się na miliardy kawałków. *Nie ubieraj się*, Miriam złapała Williama za ramię. *Nie zakładaj tego, chcę, żebyśmy byli jak Adam i Ewa. Tylko my i ta próżnia.*

## Post: ramadan

**hotel el-Muniria; Tanger Inn:** tutejsze atrakcje według Przewodnika Pascala: Burroughs, Bowles, Tennessee Williams. Do domu Paula prowadzi nas sprytny Abdoul. Sprytny Abdoul mówi o sobie: *jestem znany na całym świecie, jak*

*coca-*

*-cola*

Wiemy, wiemy, w Islamie nie ma świętych: handlarz dywanów sugeruje, że jestem wielkim artystą w łóżku, pokazuje nam zdjęcie Bowlesa z autografem. Sprytny Abdoul, tak jak podejrzewał Pascal, w odpowiednim momencie wyciąga z kieszeni kostkę

haszyszu

Sprzedawca dżellab pyta, ile wielbłądów chciałbym za moją piękną panią. Żeby to jakoś przeżyć, trzeba to kupić z całym dobrodziejstwem inwentarza: po jednej stronie gdakające kury powiązane sznurkiem jak pęk marchwi, po drugiej chleb za jednego

dirhama

Kto pyta, błądzi skołowanym wzrokiem po karcie menu. To jasne, nasz Pascal nie jest alfą i omegą. Dziewczynki biegają z tornistrami barbie. Berberyjki? Wszystkie jak jeden mąż. Pełno tu kotów, kotek, kociaków

Tom i

Jerry

na telebimie, co to za plac? Kotka na dachu w którymś z barów przy plaży. Sprytny Abdoul gdzieś wsiąknął na chwilę, Pascal się pogubił, pojawił się za to zespół brzdąkających starców. Każdy chce zarobić. Jak mawiają starcy, wszyscy jedziemy na tym samym wózku. Każdy ma w tym

głupim lbie

mercedesa

Jest jeszcze staruch w brudnym turbanie: nie chcieliśmy jego tuńczyka, my mu merci, on nam motherfucker! Milion mercedesów i dwa miliony wielbłądów mi ciebie nie zastąpią: susząc włosy podśpiewujesz coś o

moim

wielkim bananie

Jesteśmy tu z zakonspirowaną wycieczką: Mademoiselle Betty, Szalony William, Świrnięty Walt, Profesor Mattel i jego świta to nasza drużyna, nasi Power Rangers. Przyjechalśmy tu przecież, na sam koniec czy początek świata, dostać jak najlepszą cenę za nasze

kości i skórę

**nocny pociąg do Marrakeszu ma dwie godziny spóźnienia:**

ale w końcu rusza. Mademoiselle Betty ma coś do powiedzenia:

*Moje życie jest jak ta pustynia, gdzie nie spojrzeć fatamorgana.*

Tymczasem widzimy same kamienie, nie mamy

żadnych

zludzeń

**hotel Medina, 1 Derb Sidi Bouloukat:** ciepły prysznic, zimny

prysznic, ciepły za 5 dh. Mozaiki na ścianach, malunki na

drzwiach, skrzypiące łóżko, nie jesteśmy wzorem. Trudno

polubić naród, gdzie wszyscy chcą wskazać ci drogę ale

nikt nie zrobi tego

bezinteresownie

I skąd pomysł, że przyjechalśmy tu na zakupy? Czy nasz dom

nie może istnieć bez dywanów a nasze kroki nie mogą zmierzać

donikąd? Profesor Mattel zaciera ręce ale pilnuje portfela: *Moje*

*życie jest jak te kramy, na które tubylcy mówią „suki”.* Nie wiesz,

*kiedy cię okradną, ale możesz mieć pewność, że w końcu*

*ograbią cię ze*

*wszystkiego*

*I jeszycze to surowe mięso, szmatą odganiane muchy. Ta choroba,*

*która nas wszystkich trawi, tu bije po oczach w najsurowszy*

*spóśób. Motocykle, osły, kierowcy jak osły. Przez te ich komarki*

*wciąż najeżdżamy na siebie, co lepsze, wpaść na siebie z*

*wścickłym impetem*

*czy wpaść im pod koła*

Uważaj jak idziesz? Patrz, kto na ciebie spogląda, unikaj

natrętnego wzroku. Droga do raju jest wybrukowana piekłem w

najtańszym gatunku? Najpierwotniejszy hipermarket, wąskie

gardło, ledwo przesmyk do innych atrakcji: w towarzystwie

kobry delikatny wąż wodny ofiaruje mi

*good health,*

*good*

*sex, good wife* i wszelką pomyślność w interesach: jeśli tak, to za tę cenę niewiele mogą stracić, złe wspomnienia, zły okres, złoty okres najgorszych mętów, nie iść ich tropem, nie paść trupem, nie wymyślać prochu

rozpadać się

w pył

**Natraz Abdelhadi, rue Chazij Guenaoui Nr 45 Kasbah,**

**Marrakech:** Mlle Betty: *Ten człowiek, który nas woła, czegoś od nas chce a ja nie mam chęci wchodzić do niego do domu*

Prof. Mattel: *Biedak, skąd przyszło mu do głowy, że coś z nami wskóra? Zaprasza na herbatę,*

*naiwnie. Szuka naiwniaka*

Wchodzimy: czujemy się jak w domu, z którego nigdy nie wyszliśmy kuchennymi drzwiami, jak w domu ciężko chorej ciotki pochowanej gdzieś po kątach, nie wiadomo, co będziemy musieli tu z grzeczności przelknąć kiedy

przyjdzie

jeść

A jednak skromny Abdoul to zupełnie inny człowiek: pokazuje nam swoje zdjęcia ślubne i rzeczy z szafy swojej żony: *arabska TV*, zachęca nas do oglądania wszystkiego od środka, taki już mój los, a taki mój masaż i takie przyprawy. Dobijamy targu: wywiezie nas stąd do

autentycznego raju

Odprowadza nas jeszcze do bramy kasby, żebyśmy mu się jutro rano nie zgubili, kiedy będzie wołał *grand taxi*. Wyszedł z dziećmi, pewnie dlatego, że daliśmy mu pieniądze dla dzieci Patrzą na nas jak na jakieś głuchonieme egzotyczne zwierzęta, chłopiec przez ramię taty,

dziewczynka przez grzeczność

milo się uśmiecha: jesteście dla nich jak indianie, Winnetou z cudownymi paciorkami w garści i z własnym tajemnym pacierzem. *Chłopiec i dziewczynka to królewski wybór*, taka tu jest

mądrość

**W taksówce jedziemy w osiem osób:** *to czysta poezja*, mówi Profesor. *Twoja poezja to smród spod pachy*, komentuje Betty. *To jakaś parodia*, odzywa się Walt. Karykatura mercedesa? Jedzie jakby nie chciał, a mógł. *Szczęśliwa*, pytam szukając szczęścia.

Znajduje

Znajdujemy się w Atlasie Wysokim i wszystko nas tu przerasta: skromny Abdoul wynosi nas pod niebiosą, wymieniamy się nazwami jabłek i warzyw, wiedza o królikach: mogą być czarne a nawet czerwone

**Setti Fatma:** kładka nad przepaścią, wybrakowany mostek linowy; kto podąża za nami, niech ma na uwadze: każdy fałszywy krok ma znaczenie: drugi, trzeci *four, five, how still*  
*alive?*

Kto drży bardziej, ty czy ten most? Życzliwość przedmiotów martwych. *Six, seven, go to heaven*, tak jak obiecywał skromny Abdoul, wodospad: wynosimy go pod niebiosą

Walt teraz widzi to wyraźnie: *moje życie jest jak ta pustynia, zasłonięta przez góry to przerasta ludzkie pojęcie, pniesz się w pocie czoła by trafić do piachu*. Rozbraja nas dziewczynka na osłe, zagradza Oli drogę, zasłania twarz, by nie robić jej zdjęć i wyciąga rękę po opłatę za fotografowanie

Starszych kobiet nie wolno tu fotografować. Narażamy się na krzyki w prawdziwie obcym języku. Kradniemy duszę tym, którzy nie mają grosza przy duszy? Jeśli pojedziesz w te strony, daj sobie spokój z biurami

*Holidays* i

*SuperSun*:

idź prosto

do człowieka o nazwisku Natraz Abdelhadi

Chodzi o wodospad a nie o jakieś wodotryski. Potem o wieś, strumyk i dziewczynkę na osłe, owoce pigwy plukane w strumyku, ślady krowiego gówna, silny nurt: w tym dzikim miejscu Indiana Jones  
sto razy



skonalby z nudów

Tymczasem Walt spada. *Przepadł. Myślał, że jest nieśmiertelny.*

*Nie cofnął się przed nicością. Pragnął być twardy jak skała.*

Zastanawiamy się, jaki kolor jest odpowiedni do naszej żaloby.

*Sraczkowaty. I tak gównno wiedział.* To Betty sięga do torebki, musi podmalować oczy

Czy zaczepiliśmy się gdzieś po drodze o gumkę od gaci, że czas już wracać? Kto nakazał nam podróż do Casablanki, wewnętrzne

*ja-ty-czy-on? Musimy tu wrócić, musimy tu wrócić,*

ale teraz coś pcha nas dalej

**Dworzec kolejowy; avenue Hassan II:** najpierw chłopiec,

zauważam jego helikopter-ważkę, przy dobrych wiatrach

pokonuje i z pięć kroków zanim sięgnie bruku, ta zabawka to

całe dzieciństwo, przychodzi mi do głowy

a chłopiec wychwytuje moje spojrzenie i dalej wciąga do swojej

zabawy w: patrz cudzoziemcze czego możemy dokonać ja i moja

partyzancka maszyna. Z widza robi ze mnie aktora grającego

widza, to całe dzieciństwo

Jest też i matka, na czarno, w barwach ochronnych, jest młoda

i jakby nowoczesna, czyta książkę, ale jej strój nie pozwala na

nią spojrzeć. Chociaż jesteśmy na peronie mamy czas, ćwiczymy

czekanie, zmieniliśmy czas terazniejszy i przyszły na czas

ciągły nieokreślony; radzimy wszystkim przestawić zegarki

To musiało nastąpić: helikopter-ważka spada na tory, co za lot

skazańca,

blamaż

zasługujący na samobójstwo. Chłopiec próbuje ukryć przede

mną tragedię załogi, cóż z niego za kapitan? Zimną krwią chce

gasić pożar?

Chłopiec musi być mężczyzną. Przetrzymuje najcięższe sekundy,

zbyt wielu sekundantów, dopiero po chwili szepcze matce o

swoim nieszczęściu. Matka jest nowoczesna: odpowiada mu,

radź sobie sam z wiedzą, że wszystko musi się kiedyś

źle

skończyć

Nie wstanie, nie podejdzie, nie sięgnie i nie poprosi. Sam poproś:

chłopiec podchodzi jak chłopczyk, mały speszony szczeniak do

pań sprzątaczek, te odprawiają go z kwitkiem jak  
zbankrutowanego alfonsa. Wszyscy faceci mają nas w dupie,  
ty też jesteś  
w dupie, chloptasiu  
Podejść i pomóc czy czekać co jeszcze może przynieść los bez  
mojego udziału? Ćwiczymy oczekiwanie z pustymi rękami.  
Szalony William milczy. Mademoiselle Betty szuka sensu: *Czy  
ja zawsze muszę na coś czekać? Czy ten kot musi mieć  
wyłupione oko? Czy  
ja mam tu zwarionąć?*

A jednak: matka wstaje, zeskakuje, ratuje przed porażką syna.  
Chłopiec dzielnie nosi nawet tak wielkie szczęście. Betty: *Czy  
każdy, kogo tutaj poznamy musi mieć na imię Abdoul? Skromny  
Abdoul mówił na mnie Monsieur Omar a na Olę Madame  
Fatima, nie zapytał czy  
jesteśmy po ślubie*

**Rozmowa ze studentem biologii:** mieszkańcem Sahary  
Zachodniej. Wielbłąd to jedyne na świecie niemodyfikowane  
genetycznie zwierzę, które daje mleko i daje się zjeść ze  
smakiem. Tłumaczy nam Koran, który  
wszystko  
tłumaczy.

Mówię mu, że oddychanie to w dzisiejszych czasach  
samospalanie własnego ciała na ofiarnym stosie: nie ma  
rzeczy zdrowych

W chorym ciele zdrowy duch? Co za głupi pomysł, żeby bóg  
miał mieć syna? Co za głupi pomysł, żeby bóg miał zabić  
swojego syna? Mógłbym odpowiedzieć:  
co za głupie podejrzenie, że bóg jest wszechmogący, ale mówię:  
*doktryna każde myśleć, że to wszystko żeby nas doświadczyć*  
Wszechmogący może nie oznaczać wszechwiedzący? Gubię się  
gdzieś w tej rozmowie, student biologii rozmawia z nami dla  
eksperymentu, ma na imię Mrabin Rabou, *każda passa ma swój  
koniec,*

zauważa Betty

**Casa Voyageurs:** coś tu śmierdzi: nie twój zaszary interes? To  
miasto zasługuje jedynie na telegraficzny skrót: żebracy, wielki

meczeta z podgrzewaną podłogą i otwieranym dachem, mercedes wśród meczetów, żebracy, blaszane slumsy, anteny satelitarne, chłopak z brudnym bandażem na dłoni dziękuje za 20 dh jak za mannę z nieba

**Casa; piosenka Oli:** *mam drechy adika od handlarza z chodnika, mam drechy naja z marokańskiego kraja, mam drechy lakosta od casablńskiego gościa. uciekamy do Fezu. Co z Betty? Polknęła jakieś tabletki, śpi jak zabita zostawiamy ją w hotelu, niech inni ją sprzątną, co zlego to nie my*

Rozważamy, jaki kolor ma przyjąć nasza żaloba: *Zgnilozielony, przecież ona nie miała zielonego pojęcia: Profesor wie swoje: Zwymiotowała na zielono*  
*ta co wszędzie szukała jakiegoś znaku*

**hotel Amor, 31 Rue Arabie Saoudite: Fez; ville nouvelle:** jak zwykle okoliczności wystawiają nam rachunek: 30 dh za pomoc w znalezieniu lokalu gdzie można zjeść śniadanie w samym środku dnia w samym środku ramadanu, kelnerzy czekają na napiwki, chociaż tu nie może być mowy o piwie

W hotelu coś, czego jeszcze nasze oczy nie widziały: pomieszczenie do modłów, puste, *pięknie, że tak modlą się do pustki*, a w nim kot, śpi na dywanie to boskie stworzenie

Upał, że można zdechnąć: i rzeczywiście, na naszej drodze trafiamy na martwą krowę mimo gnijącego brzucha wciąż należąca do stada: *patrz, kupują od nich mleko* dwa kroki dalej zdechły koń, co to za barykada, do czego ma nas ona przekonać? Życie jako zbiór aforyzmów o życiu? Śmierć jako pointa, która nie powinna dziwić, ale wciąż nas na nowo zaskakuje

Mattel ma sraczkę: *sram na te ich zwyczaju, w dupie to mam: piję, jem i piję, nie mój post, nie ich sprawa, a to co za*

*gówniarze?* Dzieci: jeśli jedno wskazuje ci drogę, drugie doradzi przeciwny kierunek (równie drogo) a trzecie ostrzeże:

*Niech pan uważa, to złodziej, proszę uważać na swoją torbę*

Wygląda to wszystko na zabawę, ciuciubabka, policjanci i złodzieje, grają na tej swojej giełdzie, wytrawni znawcy ulicznych akcji, wpuszczają nas w maliny na tak nieurodzajnym gruncie

Jednak nas to bawi. Szalony William wbija nóż w plecy Profesora Mattela. Nasza żaloba jest bezbarwna, zupełnie jak jego natura. Czy przepuszczą nas przez granicę? Też pytanie, nikt nie wbijał nam naszych przyjaciół do paszportu.

*Nikt nic nie wie.*

oto mądrość

Szalonego Willa. Każdy dzieciak ma inną teorię, gdy zapytasz o wyjście z sytuacji. Gdy zaczniesz pytać, nie skończysz.

Licznik bije cię w twarz

Nikt nic nie wie, ale kupujemy masę przypraw, żółtą i popielatą, i gliniany pumeks, i korzeń żeńszenia i blysk w oku nastoletnich sprzedawców. *Kupili mnie od razu, ten jeden, jakże on miał oczy:*

Ola: mamy już berberyjski czajnik i dwa niezłe talerze, dwie fikuśne szklanki, dwie koszule.

Nikt nic nie wie, ale potrafimy liczyć: żyjemy we dwoje.

Wrócimy promem do Algeciras pamiętać przestawić godzinę

## **Kłusownik**

*Tygrysie, groźny Tygrysie  
Kto stworzył twoje widzimisie,*

*Kto wymyślił strzelbę  
Ma podobną głębię?*

*Kto na twojej skórze  
Leży zanim umrze?*

*Tygrysie, czy twoje pazury  
znaczą ślad do góry?*

*Tygrysie, groźny Tygrysie  
Kto wymyślił ciszę?*

Nikt nie chce się przyznać.

*Spis wierszy*

Male zoo	6
Lepiej być ogonem lwa niż głową myszy	8
Tijuana Bibles	9
głisty ludzkie (dwie pierwsze)	10
mi zoo giń	11
festyn dziecięco-penerski na osiedlowym boisku	12
ciągi dalsze	13
bądźmy szczerzy	15
bohaterowie wyobraźni	16
nasza historia	17
Slumberlandzki wierszyk	18
fantastycznie	21
po śmierci chciałbym spotkać Jane Bowles	22
Bungalow Profesora Mattela	23
Mieszane uczucia	25
streszczenie	40
Taka karma	41
Kraniec świata	42
Post: ramadan	45
Klusownik	53



ADAM KACZANOWSKI

# Nowe zoo

WIELKOPOLSKA  
BIBLIOTEKA  
POEZJI

TOM 7

Redaktor serii  
Mariusz Grzebalski

Korekta  
Natalia Słomińska

Projekt okładki i opracowanie graficzne  
Piotr Zdanowicz

Autorzy zdjęć wykorzystanych na okładce  
Ola Sobolewska, Paweł Czarkowski

Skład, łamanie  
Dorota Bojkowska

© Wydawnictwo Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej  
i Centrum Animacji Kultury w Poznaniu  
Poznań 2008

ISBN 978-83-60746-20-2

Wydawca  
Wydawnictwo Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej  
i Centrum Animacji Kultury w Poznaniu  
60-819 Poznań, ul. Prusa 3  
tel. (61) 664 08 75  
e-mail: [wydawnictwo@wbp.poznan.pl](mailto:wydawnictwo@wbp.poznan.pl)  
<http://www.wbp.poznan.pl>

Wydanie I

Druk i oprawa  
Zakład Poligraficzny  
Moś i Łuczak sp.j.  
61-065 Poznań, ul. Piwna 1